ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 11-go Marca 1897. Nr. 10.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t. (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Śląsku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

DROGI CHART.

OPOWIADANIE Z KOŃCA PRZESZŁEGO WIEKU.

Pan starosta Debułtycki był bardzo oszczędny, lecz miał słabość do chartów i gotów był stać się rozrzutnym, byle nabyć dobrego charta.

W sąsiedztwie Starosty mieszkał Węgleński, Kasztelan Chełmski, krewny przez żonę Starościny; otóż raz Starosta przyjechawszy do niego, usłyszał, że mowa była o charcie nadzwyczajnej rączości, który każdego zająca czy lisa pojedyńczo brał, ba! i z wilkiem się próbował, a był własnością podstarościego w dobrach Kasztelana. — Starosta prosił go, żeby mu przysłał owego szlachcica z chartem dla wypróbowania, a Kasztelan kontent, że się nadarza chudemu pachołkowi okazya zarobienia sobie, przywołuje do siebie szlachcica i mówi mu:

— Słuchaj no Wasze, P. Starosta Debułtycki chce nabyć charta od Waści; jeżeli więc, jak go zobaczy, zacznie z tyłu głowy włosy kręcić, to dobry znak, wtedy ceń co chcesz, a nie odmówi.

Szlachcic skłonił się, podziękował za radę, ale się w głowę skrobał, bo namiętnie lubił swego charta i mówi Kasztelanowi:

— Chyba mi P. Starosta czapkę złota nasypie, to mu ustąpię Czausa, bo takiego psa nawet w psiarni Hetmańskiej, ba! w całej Polsce niema.

— Już ja tam nie wiem — mówił Kasztelan — czem Starosta Waści płacić będzie, ale to wiem, że miej tylko rozum, a żona zawczasu szyć może worek do pieniędzy.

Po tej przemowie, szlachcic, skłoniwszy się Kasztelanowi, wyszedł, wsiadł do jednokonnego wózka, Czaus wskoczył w niego, i ruszył.

Starosta zwykł był zawsze po obiedzie siadywać w ganku, a kotłowy przy nim psom jeść dawał i stał z harapem, wołając co moment »a zgoda!« Kiedy więc tak siedział, zajeżdża przed bramę wózek jednokonny, wyłazi z niego szlachcic, pogładził wąsa, otrzepał kubrak z kurzu i idzie.

— Cóż to Waść za jeden? — pyta go Starosta.

— Lisicki, podstarości z Bezka, do usług J. W. Pana.

— Aha! słyszałem, że Waść masz dobrego charta, gdzież on?

— Jest tu ze mną, — rzekł szlachcic, potem się odwrócił, zawołał głośno: — Czaus! — i świsnął przeraźliwie przez palce, a w tej chwili nadbiegł ogromny chart czarny.

Starosta go głaszcze, a szlachcic pamiętny przestrogi Kasztelana, jak w tęczę patrzy na czuprynę Starosty, który rzekł zwolna:

— Hum! burkowaty! wziął go za łapę, obejrzał i pomruknął »lisia i podszyta«, położył rękę na krzyżu, a widząc, że się cała chowa, zaczął włosy z tyłu głowy skręcać; tego też najpilniej oczekiwał szlachcic, a zobaczywszy

znak nieomylny zadowolnienia, uśmiechnął się i wąsa pokręcił.

Starosta rzekł po chwili.

— Jak się zowie?

— Czaus, J. W. Panie!

— Czaus! Czaus! mruczał Starosta i lewą ręką głaskał po głowie charta, który uszy kładł po sobie i oczy przymrużał, a prawą ręką kręci włosy, a szlachcic się uśmiecha i pasa poprawia.

Nareszcie po chwili zawoła Starosta:

— Wiem że dobry, mówił mi o tem P. Kasztelan, co Waść chcesz za niego!

— J. W. Pan daruje, rzecze szlachcic, ale ja mego charta bez próby nie sprzedam!

— No! kiedyż Waści tak pilno, to zgoda, — a odwróciwszy się do kotłowego, zawoła: — Ruszaj do stajni! niech mi zaraz założą młode ogiery do kolaski, to się przejdą; Gozdek poprowadzi Bohusza za mną, Gruda weźmie smycz srokatych chartów, a i dla Jegomości niech koń będzie, ruszaj! Kotłowy skoczył, a szlachcic, skłoniwszy się, Staroście, rzecze:

— Bez urazy J. W. Pana, ja mego charta inaczej jak w pojedynkę nie pokażę, bo na obrót to lada pies przyjdzie.

— Ej, jak Boga kocham! Waszeć łżesz, gdziebyś miał charta, co pojedyńczo bierze, — wykrzyknął Starosta, a szlachcic najspokojniej odeprze:

— Da się to widzieć, J. W. Panie.

Na tę pewność szlachcica, Starosta tak silnie się za czuprynę pokręcił, że aż mu kilka włosów w palcach zostało. Po chwili zajechała kolasa, świeżo z Warszawy sprowadzona, ciągnęły ją dwa ciemno szpakowate ogiery, rosłe, wyniosłe, głowy do góry, uszy po sobie, prawdziwej polskiej rasy, zaprzęgi na nich suto mosiądzem nabijane. Z tyłu jechał na młodym koniu podsiwiały masztelarz Gozdek i prowadził ogromnej budowy stępaka, którego dla tego, że był od P. Bohusza kupiony, Bohuszem zwano; za nim, na ukraińskim wilczatym koniu, Gruda, szczwacz, prowadził z jednej strony smycz srokatych chartów, z drugiej na powód fornalską jakąś szkapę dla szlachcica; ten wziął konia z rąk dojeżdżacza, polecił mu swój wózek, świsnął na charta i ruszył na przewóz, a za nim Gozdek z Bohuszem. Starosta tymczasem czekał, aż mu Węgrzynek nałożył ogromną piankową lulkę, kazał się Grudzie zostać, wsiadł do kolaski i za resztą pospieszył. Przejechali przez łąki, potem wioskę i stanęli na obszernych polach; Starosta wsiadł na Bohusza i jadą. — Było to jakoś po żniwach, jeszcze gdzieniegdzie kawałek hreczki, kawałek owsa niewykoszonego stał na polu; wjechali w jedno takie półstajko, szlachcic palnął z harapa, a drugim końcem hreczki wymyka kot.

— Hajże go ha! — krzyknął Starosta, który z boku jechał. Czaus pomyka, pali jeden, drugi, trzeci obrót, zając od miedzy do miedzy, wyrznął susa.

— Popraw się, bo będę za łgarza uchodził! — woła szlachcic, a Czaus jakby zrozumiał mowę swego Pana, w mgnieniu oka dochodzi, i bez obrotu już kot w pysku, i trzęsie nim, jak rękawicą na powietrzu; dopada Starosta z rozpłomienionem obliczem.

— A co! — pyta szlachcic, — czym zełgał? — A Starosta za całą odpowiedź wykręca się na siodle i wskazując na opodal stojącą kolaskę i konie: »Masz Waść tę parę koni«, rzecze.

Szlachcic się skłonił, utroczył zająca, wsiadł na szkapę — jedźmy dalej, zawoła, w tym owsie pewny zając. — I w istocie wymknął drugi; Czaus się już wyciągnął, mniej też z nim się zabawiał jak z pierwszym, i w drugim obrocie nakrył go łapami; Starosta uradowany wskazał znów na kolaskę »Masz Waść tę kolaskę i szory«. — Szlachcic się kłania jak wprzódy, i znowu jak wprzódy »jedźmy dalej, tu na dołku widzę paproć, tam musi mieć bestya chałupę«. Trzeci był w trokach jak dwa pierwsze, a Starosta w uniesieniu radości »Masz Waść suknie bogate« zawołał; za czwartym pas lity, za piątym zegarek złoty, za szóstym tabakierkę; aż zmęczony zlazł z konia i dopiero przypomniał sobie, co mówił.

— O ho ho! co to ja Waści nadawał, a konie, a kolaska, a suknie, pas, zegarek i tabakiera.

— Mam z łaski Pańskiej czem jechać, — mówił szlachcic, — mam się w co ubrać, ale jak na popas przyjadę, czem ja zapłacę?

— Ej, jak Boga kocham! szczuj Waść jeszcze jednego, — rzekł Starosta.

Ruszyli już ku domowi, pomknął w ścierni siódmy kot, Czaus mu wali obrót, zając wyskoczył kominka, a Czaus go za udziec trzyma. Starosta kiwnął ręką »Tfu do kata!« rzecze, a po chwili dodał i »pięćdziesiąt dukatów«.

Potem ruszyli kłusem do kolasy, zadyszany Czaus wskoczył do niej i wrócili do domu.

Starosta usiadł w ganku, pot z czoła ocierał, a tu szatny wynosi żupan lamowy, kontusz z sajety atłasem podszyty, nowiuteńki pas słucki na cztery strony przerabiany, zegarek złoty i w zielonem pudełku jaszczurowem emaliowaną tabakierkę, a Starosta wyciągnął z szarawarów łokciową sakwę i liczy na ławie dukaty; na to wchodzi Starościna i patrzy, Starosta spostrzegł ją »moja lubciu, rzecze, zgłupiałem doprawdy! to ja temu Jegomościowi więcej jak sześć tysięcy dałem za charta, oj! zażył mnie z mańki!« Starościna się uśmiechnęła, a szlachcic tymczasem wypiwszy ogromną szklanicę wina, skłonił się Staroście, zaczął psa głaskać i całować i rozpłakał się; a obróciwszy się do Grudy »gdzie mój wózek?« rzecze. — »Przed stajnią«. »Weźże go sobie wraz z koniem, a pamiętaj o Czausie«. Potem wsiadł do kolaski, spojrzał łzawem okiem na psa, który piszczał za nim, i ruszył. Wróciwszy do domu, sprzedał to wszystko, na św. Jan podziękował za służbę Kasztelanowi, kupił cząstkę, ba! dobrą część wsi koło Włodawy, i do dziś dnia wnuki jego na niej siedzą.

Kajetan Suffczyński (Bodzantówicz).

PACHOLE I SKOWRONEK.

Biegło pachole
Przez pole,
I gdzie ziemię spruło radło
Na skowronka napadło.
Ptaszyna wzlata do góry
Pod chmury,
Żali się i kwili,
A po chwili,
Znowu wesoła i rada
Na dawną skibę przypada.

* * *

Przez swawolę
Pachole
Znów skowronka płoszy,
I z rozkoszy
Klaszcze że ptaszyna
Do góry znów się wyżyna,
I wciąż krąży mu nad głową,
By na nowo,
Gdy przeszkody nie zdybie,
Na tej samej usiąść skibie.

* * *

O! nie dziw się lube dziecię!
Na świecie
Pełno ludzi
Szał, niepokój, pobudzi
Ku polotom do góry
Za chmury.
Lecz gdy się duch wysili,
Gdy po chwili
Omdleją pieśni,
Później, wcześniej,
Jako marnotrawne syny
Wrócą do rodziny.
Niebo ściele
Promienistych ścieżek wiele,
I zuchwalstwu myśli
Żadnych krańców nie kryśli.
Ale szczęście nie wszędzie!
Szczęścia sercu nie będzie
Tylko w jednej krainie,
Tylko w własnej rodzinie,
Tylko, tylko na grzędzie,
Na ojczystej jedynie.

St. Koźmian.

Ekonomiczna wartość oświaty.

Niedawno zmarły, powszechnie znany, pisarz francuski Jules Simon powiedział, że »naród mający najlepsze szkoły, bezwarunkowo, jeżeli nie dziś, to jutro będzie pierwszym w świecie narodem«.



Patrz, matula idą!

Warto przyjrzeć się cyfrom, wskazującym, jak wygląda sprawa szkół w różnych krajach. W roku 1870, kiedy prawo uznało zaprowadzanie szkół za obowiązek państwa, liczyła Anglia 8 tysięcy, w r. 1882 18 tysięcy, a w roku 1889 około 20 tysięcy szkół. Ilość uczniów urosła w tym samym czasie z jednego do 4 milionów, to znaczy, że na 100 żyjących Anglików, 16 znajduje się w szkole. Szkoły te w roku 1889 kosztowały około 100 milionów reńskich.

We Francyi po wojnie niemieckiej zrozumiano, że — jak mówiono w Niemczech po wojnie z Austryą — »nauczyciel ludowy wygrał bitwę pod Königraetz«. W r. 1872 było we Francyi 70 tysięcy szkół i 5 milionów uczni. Wydatki na szkołę wynosiły sumę 53 miliony franków. Francya liczyła w tym czasie 36 procent nie umiejących czytać. Dzisiaj liczy Francya 80 tysięcy szkół, 6 milionów uczniów, co już daje 15 uczniów na 100 ludności. Wydatki na szkołę podniosły się do bardzo wielkiej sumy 154 mil. franków.

Te kraje nie dorównają jednak Ameryce. Na 62 miliony ludności, liczą Stany Zjednoczone 220 tysięcy szkół, do których uczęszcza 15 mil. uczniów, czyli 21 na 100 ludności znajduje się w szkołach. Stany Zjednoczone wydają corocznie na szkoły 132 miliony dolarów, co znaczy, że każdy Amerykanin wydaje na szkoły w swej ojczyźnie około 2 reńskich.

Pewien ekonomista amerykański przytacza, że najniższą płacę w fabrykach otrzymali niewykształceni cudzoziemcy, z których wielu podpisać się nie umiało, większą od nich płacę pobierały

dziewczęta chodzące zimą do szkół, a latem pracujące po fabrykach. Amerykanie zaś w ogólnej cyfrze otrzymują o 20 procent większe płace od cudzoziemców.

Znany fabrykant angielski Mundella zapytał kiedyś fabrykanta szwajcarskiego, w jaki sposób udało im się odbić fabrykacyę wstążek u Francuzów i otrzymał odpowiedź: »nasze lepsze wykształcenie to zdziałało«.

Obliczono, że przy tak na pozór mechanicznej, obojętnej pracy, jaką jest praca przy warsztacie tkackim, wykształcenie robotnic ma wielkie znaczenie. Wielorakie doświadczenie pokazało, że robotnica, która zważać musi na to tylko, aby nawiązać urwaną na warsztacie nić, może przy pewnej inteligencyi w takim stopniu rozwinąć słuch, że naprzód już z pewnych, dla niewtajemniczonego zupełnie obojętnych dźwięków maszyny, zauważyć jest zdolną, iż ruch wrzeciona nie jest prawidłowy i uprzedzić niekorzystne zerwanie nitek.

Każdy rodzaj roboty, od najwykwintniejszej aż do najprostszej jest polem popisu dla rozumu i inteligencyi. Jeżeli robotnik będzie woził piasek, to od stopnia jego rozwoju umysłowego będzie zależeć, czy ustawi wóz w takiem miejscu, aby gdy wrzuca weń wykopany piasek, część tegoż nie rozsypywała się w drodze do woza. Jeżeli mu damy grabie w rękę i każemy grabić siano po skoszonej łące, to od jego inteligencyi zależeć znowu będzie, czy zagrabi od razu wszystko, czy też wrócić raz jeszcze będzie musiał w to samo miejsce. Przy zaprowadzaniu maszyn w gospodarstwach rolnych, nieraz walczyć trzeba z nieumiejętnym, nic nie rozumiejącym robotnikiem i niejeden z gospodarzy rolnych dla braku sił odpowiednich nie może zupełnie myśleć o zastósowaniu narzędzi postępowych w dziedzinie, gdzie pracuje i którąby podnieść chciał.

Wiadomo również, że w Ameryce za czasów niewolnictwa w Stanach południowych inne trzeba było wyrabiać kosy i sierpy dla robotników północnych i południowych: cieńka, długa, »znakomita« w rękach północnego inteligentnego robotnika stawała się nieużyteczną dla robotnika południowca; temu trzeba było krótkich, grubych, ciężkich i tępych kos, chociaż przy ich pomocy mógł zaledwie połowę tej pracy wykonać, którą wykonywał północny jego towarzysz.

Teraz przyjrzyjmy się z kolei, jakim być może ostateczny skutek starania się państwa o podniesienie oświaty. I znowu korzystamy z przykładu Ameryki. Dzieje powszechne nie dają nam drugiego przykładu tak prędkiego, jak w Stanach Zjednoczonych powiększenia bogactwa narodowego i zwiększenia jednocześnie wydajności pracy. Każdy z nas słyszy po setne razy, że najbogatszym w świecie krajem jest Anglia. Jestto nieprawda, bo już od lat dziesięciu, jak to najlepiej stwierdzają Anglicy sami, przewyższyli ich Amerykanie. W miliardach funtów bogactwo Anglii przedstawiało się w roku 1840 jako 4, w 1875 jako 8, w 1888 jako 9 miliardów funtów; w tym samym czasie bogactwo Stanów Zjednoczonych, które było w roku 1840 mniejszem niż jeden miliard, po upływie pół wieku przedstawia się jako suma 12 miliardów funtów (240 mil. marek).

Przed 10 laty Japonia nie miała ani jednej przędzalni bawełny, a dzisiaj ma ich 59, z produkcyą dochodzącą do 200 mil. franków i znacznym wywozem za granice swej ojczyzny. Umieją Japończycy produkować tak tanio, że niektóre przedmioty, jak dywany i kołdry bawełniane, mydło, zapałki, jedwabne tkaniny, parasole, przesyłają do Ameryki, Australii, a nawet Europy i wypierają wyroby innych narodów. Wywóz japońskich towarów stanowi już dzisiaj 22 procent ogólnej cyfry wywozu.

Korespondent »Timesa« opisując w 1895 r. wystawę przemysłową w Kioto, nazywa Japonię największym wrogiem Anglii na polu przemysłu. — Zaznaczamy w obec tego wszystkiego tylko, że Japonia poświęca rocznie olbrzymie sumy na cele oświaty i posiada już dzi-

siaj 25,000 szkół, 67,000 nauczycieli i 3 miliony uczniów. Widać, że niepokaźni Japończycy, prędko zrozumieli tajemnicę bogactw narodowych i prędko też pojęli, jaki związek zachodzi pomiędzy oświatą w danym kraju i jego rozwojem ekonomicznym.

Kochajmy się Polacy w oświacie i starajmy się o jak największe jej rozszerzenie w naszym narodzie.

INFLUENCA.

Zima tegoroczna, przeplatana to mrozami, to dniami o prawdziwie wiosennej temperaturze, wpłynęła bardzo ujemnie na stan zdrowia ludności, a w pierwszej linii wywołała influencę, na którą chorują tysiące ludzi i która setki z nich wpędza w grób.

Influenca nie jest wcale nową chorobą tylko nazwa jej jest nową. W historyi nauk lekarskich znajdujemy o niej pierwszą pewną wzmiankę w r. 1580, kiedy nawiedziwszy Europę, ogarnęła ją całą. Następnie wraca wielokrotnie w ciągu 17 i 18 wieku i znika. Jeśli za pierwszymi jej nawrotami, głównie Niemcy były siedliskiem zarazy, w końcu Anglia płaci jej haracz niezwykły. Aż w roku 1775 nareszcie epidemia słabnie i znika na dłuższy czas. Nazywano ją wówczas grypą, lub febrą kataralną, włoskie miano influency przyjęło się dopiero za najnowszym wybuchem trzywiekowej już zarazy, która w r. 1889 zjawiwszy się na nowo w Europie, odtąd przy każdej niemal zmianie pory, stałe powtarza nawiedzenia, śmiertelniejsze bodaj od samejże cholery, mnóstwem ofiar stopniowo z sił odartych i przysposobionych śmierci. Idzie ona stale w kierunku z Wschodu na Zachód, z szaloną przenosząc się szybkością. Nie ma wątpliwości, że wygrzewalnią jej stanowią równiny środkowej Azyi, tworzące jakoby olbrzymią miednicę przeciętą bagnistemi bagnami, które stopniowo wypijają gorące, lub lodowate wichry, szalejące nad tem bezbrzeżnem pustkowiem. Tyle pewną, że influenca grasowała w Bokharze, na 6 miesięcy przed jej ostatniem pojawieniem się w Europie.

Oczywiście, uczeni zabrali się od razu do szukania właściwego influency zarazka (bakcylusa). Po niepewnych badaniach doświadczalnych, Pfeiffer w r. 1895 ogłosił niezaprzeczone dotąd odkrycie lasecznika, mieszczącego się głównie w ustach, nosie i krtani. Dla tego zaleconem jest usilnie w czasach epidemii nie rozmawiać na ulicy, nie przystawać w chłodnych przedsionkach gmachów publicznych i w ogóle trzymać usta zamknięte podczas przechadzek i przejażdżek. Ale zaraza to tak szybka, tak niemal nieunikniona, że trudno jej się uchronić, bo niedostrzegalne zarazki czepiają się wszystkiego. Między innymi listy i dzienniki pochodzące z krain zarażonych przyczyniają się do rozszerzania epidemii. Dość wskazać, że urzędnicy pocztowi stale pierwszemi bywają jej ofiarami, pierwsi zapadają na influencę.

Mimo rozwielmożnienia się tej zarazy, nie jest ona dotąd, jak przynależy zbadaną, a przyczyna leży w nadzwyczajnej różnorodności jej objawów. Lekki przebieg choroby odejmuje jej znaczenie, cięższy zwykle ustępuje miejsca i nazwy innej jakiej chorobie. Od kataru do zapalenia płuc dość daleko, a tymczasem u każdego niemoc ta osobne przybiera cechy, uderzając zawsze w najsłabszą część organizmu. Co jednak stałym jest influency objawem i skutkiem, to leniwy postęp wyzdrowienia. Podczas, gdy w innych chorobach następować zwykł szybki powrót do sił, do energii i woli życia, influenca przewleka się długotrwałem zgnębieniem i wyczerpaniem. Nie ma końca słabości, które słusznie kłaść należy na

karb influency pomiędzy innemi reumatyzm stawowy, upowszechniony w ostatnich latach, występujący na kształt epidemii w niektórych miejscowościach, jak np. we Wiedniu, zdaniem dr. Delmasa, jest jednym z kształtów influency.

W czasie panującej epidemii unikać należy przedewszystkiem głównych onej przyczyn: zaziębienia, zmęczenia, wszelkiego rodzaju nadużywania. Raz jeszcze dr. Delmus ostrzega przed rozmowami prowadzonemi w chłodnych miejscach, na dworze, kiedy zimne powietrze nagle wypełnia jamę ustną, składając w przyrządach oddechowych, już i bez tego nieco podraźnionych, złośliwe zarodki, wypełniając atmosferę. — Rada ta hygieniczna mogłaby i moralne przynieść korzyści, kładąc wędzidło na wielomowność ludzką i krępując raz po raz rozmachanie języka, choćby obawą przed nieproszonym gościem, wpadającym do gardła za każdem słowem, z ust wypuszczonem.

Podług tegoż doktora influenca znajduje się dotąd w pełnym stanie rozwoju i bynajmniej nie zdradza osłabienia, ani rokuje nadziei ustania.

Gdy tedy jeszcze wiele razy gotowa nawracać i dokonywać lub przysposabiać żniwo śmierci, należy się mieć na baczności, badać kroki nieprzyjaciela, zarządzać środki obronne, a zwłaszcza nie lekceważyć sobie złego, które na pozór tylko małe, groźne miewa następstwa i ciężkie nieraz skutki.

»Przewodnik Zdrowia«*) podaje w jaki sposób możemy się zabezpieczyć od influency. W pierwszym rzędzie powinniśmy się starać o jaknajkorzystniejsze warunki zdrowotne w ogóle. Znane bowiem zjawisko w chorobach epidemicznych, że podpadają takowym najczęściej ludzie znajdujący się we warunkach dla zdrowia niekorzystnych, ma najzupełniejsze zastósowanie i do influency. Ponieważ dla zarazków influencyjnych szczególnie osłabiony i zanieczyszczony przewód oddechowy najżyzniejszą daje glebę, dla tego chcąc się ustrzedz przed influencyą, — starać się przedewszystkiem powinniśmy o zdrowie tegoż przewodu. Jedynym zaś i najlepszym ku temu środkiem nie jest nic innego, jak należyte oddychanie świeżem i czystem powietrzem. Starać się więc o to mamy szczególnie teraz w zimie, kiedy to nieraz całemi dniami przesiadujemy w zamkniętem mieszkaniu i kiedy zniewoleni jesteśmy prawie ustawicznie takowe zabrudzać oświetlaniem sztucznem, jak np. gazem, petrolejem. Nie chcąc się zdobyć na lepszy sposób odwietrzania naszych mieszkań, powinniśmy przynajmniej na noc piece otworzyć, aby złe powietrze odświeżyć się mogło. Odwietrzanie będzie jednak lepsze, gdy się jednocześnie innym stósownym otworem — bądź to w oknie, bądź w ścianie — świeże powietrze wpuszcza. Na takie przewietrzanie każdy chyba zdobyć się może, a uskutecznić to powinien już z praktycznych względów gospodarczych — gdyż zyska na opale, bo powietrze czyste łatwiej się ogrzewa.

Z pierwszym tym warunkiem połączony jest zarazem drugi, tj.: unikanie nagłej zmiany ciepłoty, która to zmiana, jak wiadomo, jest najczęstszą przyczyną nieżytu (kataru) w przewodach oddechowych. Otóż przez należyte przewietrzanie pomieszkania zapobiega się nadmiernemu ogrzaniu powietrza pokojowego, — a w ten sposób uniknie się zaziębienia przy wyjściu na powietrze wolne.

Dobry stan przewodu pokarmowego jest bardzo ważną rzeczą przy zabezpieczeniu się przeciw influency. Zwracać też trzeba uwagę tak na wypróżnienie, jak na pokarmy i napoje. Mięsa, a szczególnie wędlin i kiszek, jak najmniej spożywać, zaś piwa i wódki (koniaków) trzeba zupełnie się wystrzegać. Tak samo nie trzeba sobie zabrudzać i osłabiać płuc i żołądka przez palenie tytoniu lub oddychanie powietrzem dymnem. Jak najczęściej zaś poruszać się

---

*) »Przewodnik zdrowia« wychodzi co miesiąc w Berlinie pod redakcyą A. Czarnowskiego. Roczna przedpłata wynosi 2,50 m. Polecamy to pismo naszym czytelnikom. Przedpłatę można przesyłać w znaczkach pocztowych pod adresem: A. Czarnowski, Berlin, Karlstr. 32.

powinniśmy na wolnem powietrzu bez chustki na szyi, a nawet i bez rękawiczek.

Kto się do tych wskazówek ściśle zastósuje, tego zapewne nieprędko influenca ogarnie.

WYSPA KRETA.

Nazwa tej wyspy brzmiała w starożytności: Kreta, obecnie po nowogrecku Kriti, po turecku Kirid. Nazywają ją także Kandią i to miano jest niejako dzisiejszem urzędowem i książkowem nazwiskiem wyspy. Najwięcej w używaniu jednak jest nazwa: Kreta.

Kreta leży w południowej części morza Egiejskiego. Ciągnie się w kształcie wązkim ze wschodu na zachód. Długość jej największa wynosi 255, szerokość od 12 do 56 kilometrów, obszar zaś 8617 kwadratowych kilometrów czyli 156 i pół mili kwadratowej.

Brzegi wyspy są w ogóle skaliste i strome; na wybrzeżu północnem sięgają skały dość daleko w morze, tworząc w ten sposób ochronne porty dla okrętów, z których najważniejsze: Armyro, Suda, Kanea, Kisamo. Na wybrzeżu południowem natomiast ani takich zatok, ani portów nie ma, a okręty tylko z wielką trudnością mogą tam do brzegu zawinąć.

Kreta jest górzysta. Z przylądków czyli przedgórz, sięgających w morze, należy wymienić: Busa i Spatha na zachodzie, Sidero i Salmone na wschodzie, Lithinos na południu wyspy. Przez środek wyspy ciągnie się pasmo gór, tworzące cztery grupy. W samym środku prawie znajduje się góra Ida, 2500 metrów wysoka. Zachodnią grupę stanowią tak zwane Białe Góry albo Madares z najwyższem szczytem Teodoro, 2630 metrów wysokim. Wierzchołek tej góry tylko w lecie nie jest pokryty śniegiem. Na wschodzie leżą góry zwane Lasitiotika. Zupełnie na uboczu położone jest pasmo gór Afentis, zwane w starożytności Dikte.

Niziny największe znajdują się pod miastem Kandią, Kaneą, Mesara, Pediada.

Wyspa ma dużo źródeł z dobrą wodą do picia, lecz rzek wcale nie posiada. Największe strumienie górskie są: Mylopotamo na wybrzeżu północnem, Mitropolipotamo na południowem.

Klimat wyspy jest bardzo łagodny i zdrowy. Tylko wtedy gdy wiatr zwany Sirocco, z Afryki powiewa, powietrze staje się gorącem aż do 40 stopni Celzyusza. W nizinach pada przez całą zimę deszcz. Gdy termometr spadnie do 4 stopni, okrywają się szczyty gór śniegiem. W lecie nie pada nigdy, lecz z powodu bliskości morza bywa rosa nadzwyczajnie obfita i przyczynia się do urodzajności. Przez cały rok wygląda na wyspie zielono a drzewa pomarańczowe, róże, hiacynty, narcyzy, lewkonie i inne kwiaty kwitną ciągle.

Grunt na wyspie jest przeważnie skalisty i piasczysty, lecz skoro go kto dobrze i starannie uprawi, wydaje dobre żniwo. Już w starożytności słynęły wina, oliwa i miód z wyspy Krety. Dzisiaj uprawa roli jest dosyć zaniedbana tak, że zboże na wyspie wyhodowane nie wystarcza na potrzeby mieszkańców. Natomiast lasy z drzewami oliwnemi są bardzo rozległe. Prócz tego rosną tam drzewa, rodzące tak zwany chleb świętojański, migdały i inne owoce południowe oraz bardzo są liczne winogrady i laski myrtowe. Jako przedmioty handlu wywożą z wyspy: oliwę, wino, miód, wosk, bardzo dobry jedwab i na całym Wschodzie bardzo chętnie jadany ser sfakiocki. Ze zwierząt znajdują się na wyspie bydło rogate, małe, ogniste konie, odyńce, wilki i rozmaite gatunki zwierzyny do polowania. Z minerałów posiada wyspa wapień, gips i łupek.

Mieszkańcy wyspy Krety, których jest ogółem około 300 tysięcy, są w

przeważnej części Grekami, w mniejszej części Turkami. Pod względem religii są Grecy prawosławnymi chrześcianami jak Rosyanie, a Turcy wyznawcami wiary Mahometa. Nie wszyscy Muzułmanie jednak są Turkami; znaczna ich część zalicza się do narodowości greckiej i mówi językiem greckim. Najczystsza krew starych Greków płynie w żyłach Sfakiotów, zamieszkujących niezdobyte wyżyny i niziny gór Maderes. Ci bronili się najdłużej Turkom i podczas gdy panowanie tureckie nad wyspą już w roku 1825 było zapewnione, Sfakioci bronili swojej wolności aż do r. 1868. Rzeczywistych Turków znaleść można właściwie tylko w mieście stołecznem Kandii. Przy mieście Kanei istnieje osada kilka tysięcy Arabów licząca.

Co do urządzeń kościelnych chrześciańskich jest Kreta podzielona na 15 dyecezyi, z których każda posiada jednego biskupa prawosławnego. Przełożony nad biskupami archirej mieszka w Kandii. Pod względem państwowym tworzy wyspa turecki wijalet czyli prowincyą, podzieloną na trzy okręgi (sandżaki) i to: Kandia, Retino i Kanea.

Najwyższym urzędnikiem cywilnym jest gubernator wyspy. Dawniej sprawował ten urząd zazwyczaj Turek. Ostatnim gubernatorem był chrześcianin, basza Berowicz.

Historya Krety jest bardzo zajmująca. Stara bajka grecka głosi o dwóch sławnych królach Krety, nazwiskiem Minos. Drugi z nich nadał królestwu swemu tak doskonałe prawa, że wzbudzały podziw całej Grecyi. Nic dziwnego, skoro, jak podanie głosi, pierwszy z bogów greckich Jupiter, co dziewięć lat zjawiał się w pewnej grocie na wyspie, zapraszał Minosa do siebie i nauczał go, jak ma panować i jakie prawa wydawać. Minos kazał pobudować liczne okręty, zorganizować wojsko okrętowe i wojował po morzach. Kraj w Grecyi, zwany Atyką, podbił. Mieszkańcy Atyki musieli mu złożyć hołd i przysyłać rocznie 7 młodzieńców i 7 dziewic jako trybut. Okrutny Minos dawał ich na pożarcie Minotaurowi, potworowi z ludzką postacią i łbem byka, który się znajdował w ogromnym budynku, zwanym labiryntem. Minos mieszkał w mieście Knossos.


Jerzy, król grecki.

Z niebajecznych dziejów Krety warto przytoczyć, co następuje:

Od roku 67 przed Chrystusem byli Rzymianie panami wyspy. Następnie przeszła Kreta pod władzę greckich cesarzy. W r. 823 po Chrystusie zagarnęli ją Arabowie i posiadali blisko 140 lat. Zdobyta powtórnie przez cesarzy greckich w r. 961, pozostała przy nich aż do r. 1204, w którym Konstantynopol przez Krzyżowców został wzięty. Zrazu zawładnęli wyspę Genueńczycy, później Wenecyanie i zatrzymali w swej mocy aż do r. 1645. Stolica Kandia broniła się jeszcze trzy lata dłużej, a oblężenie to jest jednem z najkrwawszych w historyi świata. Blizko 150 tysięcy ludzi znalazło przy niem śmierć. W r. 1668 stali się Turcy władzcami Krety. Panowanie ich było ciężkie dla Kreteńczyków, nieustannie też przeto toczyli walki z nowymi panami, lecz bezskutecznie. Gdy w pierwszej połowie tego stulecia w Grecyi ruch narodowy ożył i jarzmo tureckie zrzuciwszy, nowe greckie królestwo z królem Jerzym z duńskiego rodu królewskiego (obacz

obrazek) założył, zaczęli i Grecy kreteńscy myśleć o oswobodzeniu się z pod tureckiego ucisku. Lecz któżby był sprostał wielkiej wówczas jeszcze sile Turków! Dopiero w r. 1866, po trzech latach bardzo nieurodzajnych, wybuchło na całej Krecie ogólne powstanie przeciwko Turcyi. Na wielkim narodowym wiecu w Kydonii uchwalili powstańcy połączyć wyspę z Grecyą, która pieniędzmi i ochotnikami wspierała rodaków swoich przeciwko wojskom sułtańskim. Inne państwa, mianowicie Anglia, radziły wówczas Turcyi, aby wyspę dobrowolnie Grecyi odstąpiła, lecz nadaremno. Przeszło 2 i pół roku trwała walka. Ostatecznie zwyciężyli Turcy pod dowództwem baszy Omera. Bez skutku powstanie jednak nie pozostało. Rząd turecki nadał mieszkańcom pewne prawa, darował im na kilka lat wszelkie podatki, zgodził się na ustanowienie sejmu, złożonego z wybranych przez lud posłów.

Lecz z czasem urzędnicy tureccy na nowo ludność chrześciańską i grecką uciskać i prześladować zaczęli a skutkiem tego od czasu do czasu walki na wyspie się powtarzały. Teraz zaś znowu wre powstanie zbrojne przeciwko Turcyi z otwartą pomocą Grecyi. Cobądź się stanie, tyle nie ulega wątpliwości, że rzeczywiste panowanie Turcyi na Krecie się skończyło. Wyspa doczekała się nakoniec większej wolności, za którą tyle krwi przelała.

RĘKAWICZKA.

Chcąc być widzem dzikich bojów,
Już u zwierzyńca podwojów
Król zasiada.
Przy nim książęta i panowie Rada:
A gdzie wzniosły krążył ganek,
Rycerze obok kochanek.

Król skinął palcem, zaczęto igrzysko.
Spadły wrzeciądze: ogromne lwisko
Zwolna się toczy;
Podnosi czoło,
W około;
I ziewy rozdarł straszliwie,
I kudły zatrząsł na grzywie,
I wyciągnął cielska brzemię
I obalił się na ziemię.

Król skinął znowu.
Znowu przemknie się krata:
Szybkiemi skoki, chciwy połowu
Tygrys wylata.
Spoziera z dala,
I kłami błyska,
Język wywala,
Ogonem ciska,
I lwa dokoła obiega.
Topiąc wzrok jaszczurczy,
Wyje i burczy;
Burcząc na stronie przylega.

Król skinął znowu.
Znowu podwój otwarty:
I z jednego zachowu
Dwa wyskakują lamparty.
Łakoma boju, para zajadła
Już tygrysa opadła,
Już się tygrys z niemi drapie,
Już obudwu trzyma w łapie:
Wtem lew podniósł łeb do góry,
Zagrzmiał — i znowu cisze.
A dzicz z krwawemi pazury
Obiega, za mordem dysze
Dysząc na stronie przylega.

Wtem leci rękawiczka z krużganków pałacu,
Z rączek nadobnej Marty,
Pada między tygrysa i między lamparty
Na środek placu.

Marta z uśmiechem rzecze do Emroda:
»Kto mię tak kocha, jak po tysiąc razy,
Czułemi przysiągł wyrazy,
Niechaj mi teraz rękawiczkę poda.«

Emrod przeskoczył zapory,
Idzie pomiędzy potwory,
Śmiało rękawiczkę bierze.
Dziwią się panie, dziwią się rycerze:
A on w zwycięzkiej chwale
Wstępuje na krużganki.
Tam, od radośnej witany kochanki,
Rycerz jej w oczy rękawiczkę rzucił:
»Pani, twych dzięków nie potrzeba mi wcale.«
To rzekł i poszedł, i więcej nie wrócił.

Przełożył z niem. Adam Mickiewicz.

WĘŻE NA WYSPIE JAWIE.

Plantacya trzciny cukrowej Imho, obejmująca około 12000 akrów, z których jedna trzecia przeznaczona jest pod uprawę trzciny, leży w jednej z najbardziej lesistych okolic Jawy. Olbrzymie drzewa i zarośla, powiązane z sobą gęstą siecią roślin, tworzą nieprzebytą ścianę, niedostępną nawet dla dzikich zwierząt.

W mrocznych tajniach tych dziewiczych lasów gnieżdżą się tylko gady, z których dziesięć odmian przynajmniej należy do najjadowitszych. Z pomiędzy Chińczyków wziętych do robót w plantacyi, ośmiu padło ofiarą ukąszenia tych gadzin w przeciągu czterech miesięcy zaledwie. Jestto klęska prawdziwa, od której nie ma prawie sposobu się zabezpieczyć. Jeden szczególnie gatunek żmii jest bardzo niebezpieczny. Przyczajona na ścieżkach, nie ucieka na widok ludzi, jak inne jadowite gadziny, ale zdaje się oczekiwać aby ją nadepnęła niebaczna stopa ludzka. Ukąszenie jej sprowadza śmierć w kilku minutach.

W odległości jakich dwunastu mil od tej plantacyi znajdują się ruiny świętego miasta Choru. Prawdziwy to las świątyń, budowanych z kamienia pokrytego rzeźbą jak najdelikatniejsza koronka. Na północ tych budowli ciągną się długie sklepione na arkadach korytarze, gdzie w cieniu ich chronią się przed palącem słońcem zwierzęta. W jednym rzędzie z temi arkadami znajduje się ze sto małych pokojów bez okien, ciemnych zupełnie a w nich ukrywa się więcej z pewnością jadowitych wężów, aniżeli w jakiejkolwiek innej miejscowości.

Wschodnie narody mają w ogóle Anglików za niespełna rozumu, i nic w tem dziwnego, Anglicy spełniają bowiem nie mało szaleństw nie mających pozornie innych przyczyn, jak bezcelowe ryzykowanie życia. Otóż dwa lata temu przybył pewien młody oficer angielskiej wojennej marynarki z zamiarem zwiedzenia miejscowych plantacyi a w szczególności Imho, objawiając szczególniejsze zamiłowanie w zbieraniu różnych gatunków zabitych wężów. Za jedynego towarzysza miał majtka angielskiego, młodego chłopca lat szesnastu, z którym we dwóch tylko, bez żadnego przewodnika, pomimo ostrzeżeń, włóczyli się po lasach.

W ruinach miasta Choru zebrał obfite żniwo. Nie licząc mnogich okazów wężów i drobnych zwierząt, zabił czarnego jaguara, lecz nieszczęśliwa przygoda z wężem anakondą, położyła koniec jego polowaniu.

Pewnego dnia, on, i jego towarzysz, znajdowali się w owym długim sklepionym korytarzu i, spoglądając przez otwory, w jednym z tych ciemnych pokojów ujrzeli coś żółtego, leżącego w oddalonym rogu. Nie zastanawiając się jednej chwili, weszli do tego pokoju i oficer szturchnął laską tajemniczy ten przedmiot. Wtedy rozległ się przerażający świst, z szybkością tygrysa masa ta rzuciła się, i oficer ujrzał się w jednej chwili uchwyconym przez olbrzymiego węża Dari, jednego z najniebezpieczniejszych wężów z gatunku zwanego anakonda. Gadzina druzgocąc mu lewe ramię szczękami, z szybkością błyskawicy owinęła go, i skręty jej, niby żelazne kleszcze, dusić go poczęły. W tej strasznej chwili przytomność tylko umysłu młodego majtka ocaliła życie oficerowi. Dużym, ostrym nożem zadał on płazowi dwa głębokie cięcia w najcieńszem miejscu ciała, tam gdzie łeb łączy się z tułowiem i, przecinając tym sposobem kręgi, pozbawił go życia. Straszliwe uściski w tej chwili zwolniały, wąż jednak w ostatniej konwulsyi konania uderzył chłopaka ogonem swym z taką siłą w nogę, że ją przetrącił. Zaledwie we dwie godziny po tym wypadku służba plantacyjna znalazła pana i służącego i odwiozła ich do domu. Lewe ramię oficera było całkiem zmiażdżone, tak, że trzeba było je uciąć; wreszcie obaj po przebyciu silnej gorączki odzyskali zdrowie.

Węża tego, którego zdobycie omal że życia dwóch ludzi nie kosztowało, widziałem w muzeum w Batawii. Całe ciało gadziny pokrywały żółto-czarne pręgi, długość jej wynosiła stóp piętnaście. Co do siły za życia, to zapewne dostateczną była do zgniecienia konia.

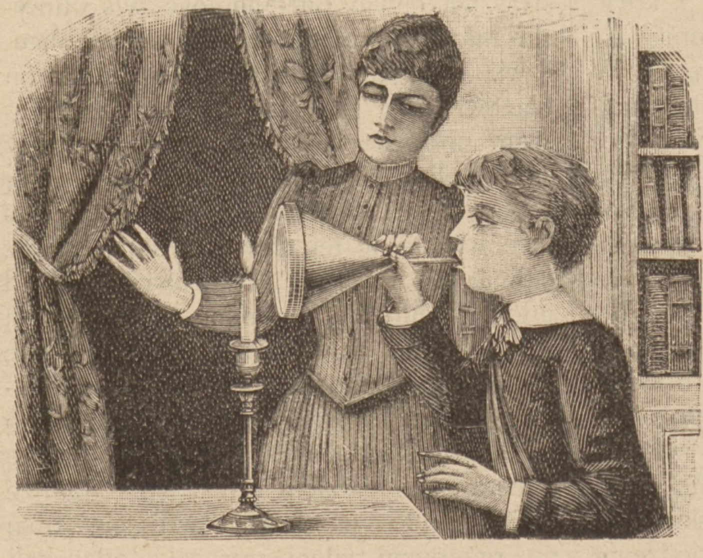
Polując pewnego dnia, w pobliżu rzeki Wasli River, tropiłem ślad świń dzikich, które dla ugaszenia pragnienia podążały ku wodzie. Nagle z wysokiej trawy wychylił się łeb węża i rozległ się kwik przeraźliwy. Oto wąż prędko uchwycił największą ze świń, mającą najmniej trzy stopy wysokości w przednich łopatkach i okręciwszy ją, dusić począł. Pod straszliwym tym uściskiem, ciało zwierzęcia wydłużać się poczęło, a gdy po chwili wypuścił je wąż ze swych objęć, z wyjątkiem głowy pozostała tylko masa bezkształtna krwawego mięsa. Węża tego zastrzeliłem. Miał długości dwanaście stóp tylko, siedm cali średnicy w najgrubszem miejscu tułowia, a jednak posiadał siłę taką, że pokruszył kości dzikiej świni jak drzazgi.

Nie ma wątpliwości, że w błotnistych okolicach wyspy ukrywa się ogromna ilość olbrzymich anakond. Zbierały się kilka razy wyprawy myśliwych z zamiarem zapolowania na nie, ale klimat niezdrowy i zabójcze febry skłoniły ich do odstąpienia od zamiaru. W muzem batawijskiem, oprócz węża, z którym miał spotkanie ów oficer angielski, widziałem skórę płazu, który musiał mieć najmniej stóp piętnaście.

ROZRYWKI DLA MŁODZIEŻY.

Jak zgasić świecę? Gdy w domu twoim gromadka dzieci się zbierze, nie obejdzie się bez wrzawy. Dzieci lubią się głośno bawić. Skoro zabawa zacznie się stawać swawolą, wtedy chętniebyś chciał dzieciom podać rozrywkę mniej hałaśliwą a zajmującą. Jedną z takich jest sztuka, przedstawiona na dzisiejszym obrazku. Dzieci ona z pewnością zajmie szczególnie też, gdy przyrzeczesz nagrodę temu, kto sztuki dokona.

Chodzi o to, aby palącą się świecę za pomocą lejka zgasić. Zwyczajny lejek, znajdujący się w każdej kuchni, nadaje się dobrze do tego. Gdyby takiego blaszanego lejka nie było, można zrobić lejek z papieru.



Jak zadmuchnąć świecę?

Ten i ów pomyśli sobie, że zgasić świecę w ten sposób jest rzeczą wielce łatwą. Lecz niebawem się przekona, że tak nie jest. Dzieci twoje dmuchają, a dmuchają, jedno po drugiem, a świeca pali się dalej

Sztuka polega na następującym warunku. Jeżeli kto trzyma lejek zupełnie naprzeciwko płomienia świecy, to świecy mimo natężenia wielkiego nie zgasi. Poruszone bowiem dmuchaniem powietrze posuwa się po ścianach lejka, a potem przechodzi w dalszym

ciągu bokiem od płomienia świecy i nie zgasi jej.

Stanie się to dopiero wtedy, gdy lejek tak się uszykuje, że ściana lejka znajduje się równoległe z płomieniem świecy. Wtedy świeca zgaśnie, gdy kto dmuchnie, bo powietrze z lejka uderzy wprost na płomień.

Opatrzność Boska czuwa.

Opowiadanie z czasów ostatniego prześladowania chrześcian w górach Libanon.

(Ciąg dalszy.)

V.

Około 100 kobiet i dzieci znajdowało się w pieczarze, która dość była wielka, aby ich pomieścić a przytem otoczona dokoła krzewami i w ten sposób całkiem zakryta. Od śmierci się wprawdzie uratowali, lecz cóż poczną dalej? Długo w pieczarze pozostać nie mogą, bo nie mają żywności. Przy nagłem opuszczaniu wsi rodzinnej mało kto zabrał chleba, co zaś zabrał, to już się wyczerpało. Dzieci zaczęły się upominać o chleb. Niektóre matki chciały w dwie godziny zaledwie po schronieniu się do pieczary, opuścić ją, aby poszukać pożywienia lub wody dla dzieci. Lecz wdowa wstrzymała je, ostrzegając przed niebezpieczeństwem, jakie im grozi, skoro tylko z pieczary wyjdą. Zapewnie Druzowie jeszcze krążą w pobliżu, czatując na tych, którzyby się z ognia wydobyć zdołali.

Tymczasem Judyta rozwiązała swój tłómoczek i dobyła z niego dość dużo fig suszonych, które z domu zabrała, sama je wielce chętnie jedząc. Gdy te figi między dzieci rozdano, uspokoiły się. Maron szepnął siostrze swej do ucha:

— Judyto, tyś mędrsza od nas wszystkich.

— Mam nadzieję, — odrzekła Judyta, — że i ty wraz z Alim wytężysz rozum, aby znaleść sposób wyratowania nas z tej pieczary.

Wkrótce potem Maron i Ali czołgali się ostrożnie ku wyjściu pieczary. Dokoła panowała cisza, z góry tylko słychać było trzask płonącego lasu, od którego ostry wiatr powiewał. Posunąwszy się dalej w zaroślach, ujrzeli młodzieńcy dolinę przed sobą i zobaczyli, jak Druzowie w niej się gromadzili i ku wsi Diezzin wracali.

Maron wskazał na nich palcem a potem rzekł do Alego:

— Mam plan, za pomocą którego możemy być wszyscy uratowani.

— Ja nie mam wiele nadziei, — odpowiedział Ali, — albowiem po całej okolicy wałęsają się oddziały Druzów, tak iż trudno będzie wymknąć się ztąd. Jeśli zaś tutaj zostaniemy, musimy zginąć z głodu.

— Tak jest, — odrzekł Maron, — i dla tego musimy koniecznie się ztąd oddalić. Pożar lasu zwabi niezawodnie tudotąd różnych łotrzyków, którzy mogliby nasze schronisko w pieczarze odkryć. Mój plan jest taki. Musimy się ztąd oddalić oddziałami w różne strony i dążyć ku jakiej obronnej osadzie maronickiej.

— Lecz dokąd?

— To musimy dopiero wybadać. Gdy mroki wieczorne zapadną, udamy się w dolinę. Widzisz tam na stoku góry pasącą się trzodę kóz?

— Widzę.

— Zauważyłem przedtem, że pasterz rozmawiał z Druzami, niezawodnie tedy wie, na którą wieś maronicką zamierzają teraz uderzyć. O tem musimy się od niego dowiedzieć za pieniądze i grzeczne słowo. Ty zwłaszcza będziesz musiał jako syn najwyższego kapłana z Sydonu występować, ja zaś będę twoim sługą. Ażebym zaś mógł to bez

kłamstwa twierdzić, wstępuję teraz do ciebie w służbę.

— A jak się spotkamy z Druzami, — zapytał Ali, — co wtedy?

— Nie obawiaj się o to, — uspokoił go Maron; — gdy ich spotkamy, ty pierwszy powinieneś ich zawołać, wypytać się i tak się względem nich zachowywać, jakobyś to z polecenia i w imieniu ojca twojego czynił. Bądź dobrej myśli! Bóg dopomagał nam dotąd, miejmy nadzieję, że i nadal wspierać nas raczy.

Potem obaj młodzieńcy powrócili do pieczary i uwiadomili tam zgromadzonych, że Druzowie już odchodzą. Maron opowiedział matce o swoim planie, pytając, co ona o nim sądzi. Gdy Maron skończył, spytała wdowa:

— Mój synu, któż ci podał tak doskonały plan?

— Wszakżeż sami nas, mateczko, uczyliście, — odrzekł Maron, — że w kłopotach mamy prosić Ducha świętego o dobrą radę. Tak uczyniłem i zaraz przyszło mi do głowy to, co opowiadałem. Dla tego myślę, że się sprawa uda.

— Będziemy się tu modliły, aby się udała, podczas gdy wy na zwiady pójdziecie, — odpowiedziała wdowa. — Lecz powiedz mi, Maronie, jakże dostarczycie żywności dla tak wielu ludzi? Bez pokrzepienia nie zdołamy się tuztąd ruszyć.

— Myślałem i o tem i gdybyśmy dosyć pieniędzy mieli, rzecz nie byłaby trudna do przeprowadzenia. Oto na stoku gór pasie się trzoda kóz. Moglibyśmy odkupić kilkanaście z nich i każdemu oddziałowi kilka dać, aby w drodze mogli się posilić mlekiem koziem.

— To dobra myśl, synu, — odpowiedziała wdowa, — uczyńcie to jak najprędzej, o pieniądz się postaram.

Potem udała się do innych kobiet, powiadomiła ich o planie. Niewiasty były z tego bardzo uradowane i ile która mogła, tyle pieniędzy na zakupno kóz dała. Włożono je w skórzany woreczek i oddano Alemu jako owemu bogatemu tureckiemu panu. Otrzymawszy błogosławieństwo od wdowy, ruszyli obaj młodzieńcy w drogę. W dolinie już szarzało. Wdowa z Judytą odprowadziły Marona i Alego aż do wyjścia pieczary a potem wróciwszy, wezwały inne niewiasty do modlitwy, ażeby obaj młodzieńcy zdrowo wrócili i osiągnęli swój cel.

Ali i Maron przesuwali się ostrożnie przez krzaki, nasłuchując, czy nie usłyszą wrzawy, po którejby poznali, że Druzowie są w pobliżu. Lecz nic podejrzanego nie zauważyli. Spuściwszy się w dolinę, udali się drogą z Sydonu do Diezzin, ażeby wzbudzić mniemanie, że ztamtąd przychodzą. Słońce spuściło się właśnie za góry i lasy. Pasterz, którego Maron z góry widział, udał się już do swojej chaty, leżącej nieco w bok od drogi. Damdotąd udali się obaj młodzieńcy. Gdy zapukali do drzwi, usłyszeli ostry głos. Trochę ich lęk zdjął, lecz weszli. Jakżeż jednak było ich przerażenie, gdy w chacie obok starego pasterza trzech uzbrojonych Druzów na ziemi siedzących spostrzegli!

Maron jednak wnet się uspokoił i odezwał się donośnym głosem:

— Salem aleikum! Pokój z wami!

— Salem aleikum! — odpowiedzieli wszyscy, jakby jednym głosem.

Potem Maron mówił odważnie dalej:

— Mój młody władzca, Ali, syn głównego kapłana z Sydonu życzy sobie nieco mleka na pokrzepienie. Droga z Sydonu zmęczyła go wielce.

Gdy Druzowie usłyszeli, że Ali jest synem głównego kapłana, powstali spiesznie z ziemi i pozdrowili go, kłaniając mu się aż do ziemi i przykładając rękę do czoła.

Ali odezwał się tem przyjęciem ośmielony:

— Dziękuję wam, moi przyjaciele; usiądźcie sobie, boście walką i marszem zmęczeni.

Potem podawszy pasterzowi, który jakoś podejrzliwie na przybyszów spoglądał, złoty pieniądz, rzekł do niego:

— Daj nam prędko mleka i chleba, bo jesteśmy bardzo spragnieni i zgłodniali.

Pasterz ukłonił się i wybiegł, aby przynieść mleka.

Wtem odezwał się jeden z Druzów:

— Przebaczcie, młody panie, że zapytam, czy tak sami podróżujecie z jednym towarzyszem?

Ali się zakłopotał, lecz Maron odpowiedział za niego:

— Mój pan pozostawił swoich towarzyszów u góry przy płonącym lesie.

— Zaniesiemy im mleka i chleba, jeżeli sobie tego życzycie, — zawołał jeden z Druzów.

— Nie, nie, dziękuję wam, — odpowiedział szybko Ali, — moi towarzysze przybędą tu niezawodnie w niedługim czasie.

Potem zamilkł, nie wiedząc, co więcej powiedzieć.

Maron znów się odezwał:

— Wyświadczylibyście panu mojemu wielką przysługę, gdybyście chcieli się udać do dowódzcy naszego w Djerzin z wiadomością od niego.

— Tak jest, — przywtórzył Ali, dając Druzowi pieniądz, — ja jestem zmęczony, a wiadomość powinna koniecznie jeszcze dzisiaj dojść do Djerzina, bo jest pilna. Udajcie się przeto do waszego dowódzcy, i powiedźcie mu, że syn kapłana najwyższego z Sydonu nakazuje mu, ażeby z wojownikami swymi pozostał w Diezzin tak długo, dopóki sam nie będę z tajnymi rozkazami.

— Panie, — odpowiedział, kłaniając się wojownik, — ja pójdę, a moi towarzysze mogą tu zostać na twoje rozkazy.

Ali zakłopotał się, co na to powiedzieć, lecz Maron odezwał się:

— Pozwól, o panie, że zwrócę uwagę na to, iż poselstwo jest bardzo ważne a noc się zbliża. Gdy jeden posłaniec pójdzie, łatwo mogą go Maronici napaść i uśmiercić. We trzech będzie im bezpieczniej.

— Tak jest, — przywtórzył Ali, — idźcie wszyscy trzej a spieszcie się.

— Panie! — odpowiedzieli na to Druzowie, — jesteś mądry i bardzo troskliwy o nasze bezpieczeństwo. Usłuchamy cię.

Trzej Druzowie wziąwszy strzelby udali się w drogę. Maron odezwał się jeszcze do nich:

— Gdy pan moj do Djerzin przybędzie, nagrodzi was jeszcze, gdy się dobrze sprawicie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

* **Sodalis Marianus.** Wysoka cześć, jaką Polacy oddawali Najświętszej Maryi Pannie, spowodowała założenie religijno - moralnego bractwa Sodalisów. Przymiotnik łaciński sodalis, znaczy należący, składający towarzystwo. Zasadami tego stowarzyszenia było nietylko nabożeństwo do N. M. Panny, ale zachowanie w życiu nieskażonej prawości i czystości obyczajów. Bractwa sodalisów miały swego prefekta i kongregacyą, członkowie podzieleni byli na dwa stopnie sodalisów i tyronów. Bractwo to w XVII w. rozpowszechniło się w szkołach, palestrze i po całym kraju. Samych uczniów jednego tylko kolegium jezuickiego w Kaliszu, zapisanych było r. 1600 w bractwie sodalisów 127. Członkowie obowiązani byli surowo zachowywać jego przepisy. Za rozpustę dostawał sodalis od stowarzyszonych chłostę, za przekroczenie ósmego przykazania Bożego następowała ekskluzya czyli wykreślenie z bractwa, kara uważana prawie na równi z klątwą kościelną. Zaklęcie: Ut sum sodalis Marianus »Jakem sodalis«, było dowodem prawdy stanowczym, o której nikt już nie wątpił. W ostatnich czasach za staraniem OO. Jezuitów wskrzeszono znowu to staropolskie bractwo w naszym kraju, a liczba członków jego wzrasta coraz bardziej. Zygmunt Kaczkowski napisał piękną powieść p. t. »Sodalis Marianus«, osnutą na tle czasów saskich.

FRASZKI.

* **W sądzie.** Gdzieś się rodził?

— W izbie...

— Co to jest, miasteczko, czy wieś?

— Nie... w stancyi...

* **Pewien biedny Niemiec,** który podczas wykolejenia pociągu koło Chicago, złamał obydwie nogi, prosił Dyrekcyi o odszkodowanie.

— I o taką drobnostkę chodzi panu, — rzekł urzędnik, — toż przy tym wypadku trzydziestu dwóch śmierć poniosło, a żaden nie powiedział ani słowa.

* **Ktoś** opowiadał o starcu, który doczekał się pięknego wieku, bo 99 lat.

— E, to nic, — rzekł na to jeden z słuchających — i mój ojciec, gdyby jeszcze żył, miałby teraz 120 lat!



1. Bryś, czuwaj, aby kto z wózka jabłek nie ukradł!

2. Bierzmy, ile tylko można. Cicho, głupi psie!

3. W nogi, mój drogi, bo pies za nami.

4. O rety, moje jabłka! Łapcie złodziei!

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

v

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 11-go Marca 1897. Nr. 10.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Śląsku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Wilk i skowronek.

»Precz, precz z twojemi pisklęty, jeśli nie chcesz by poginęły« wołał ryjący środkiem zagonu kret na skowronka, który może tylko o krok jeszcze przed nim karmił piszczące swe w gniazdku potomstwo.

»O Boże! przyjacielu... czyż koniecznie środkiem tego zagonu twoja droga iść musi? czyż niepodobna ci wyboczyć troszeczkę? wszak-żeż tak łatwo byś to mógł uczynić, a mnie tak srogiej nie wyrządzać krzywdy. Przyjacielu, miej litość nad temi pisklęty!« Tak błagał okrutnego kreta drżący ze strachu skowronek.

»Ja nigdy z mego gościńca nie zbaczam: prosto pod twoim gniazdem ryję; więc mnie daremnie drażnisz twym piskiem: tak być musi i koniec! Żebyś jednak poznał moją sprawiedliwość, daję ci trzy dni czasu do przeniesienia na inne miejsce twoich małych; ale pamiętaj! jeśli twego gniazda na wyznaczony czas nie uprzątniesz, choćbyś się i o pół minuty opóźnił; wszystko spustoszone zastaniesz: znasz moją regularność«.

I odwróciwszy się natychmiast, cofnął się rozrytym już gościńcem, zwolna ziemię nad sobą unosząc. Strwożony zaś skowronek, uleciał prawie w obłąkaniu pod niebiosa, śpiewając piskliwie, potem znów wracał na gwiazdko i znów odlatywał; aż w rozpaczy, tłukąc się po polach, po łąkach, przez dzień niemal cały, gdy słońce zachodzić miało, wpadł do zielonego gaju, piszcząc przeraźliwie.

»A, a,... ciebie co tu niesie do lasu? zapytał stroskanego przybysza wilk, co na dwóch tylnych łapach oparty siedząc, przyćmionemi nieco blaskiem zachodzącego słońca oczy, spozierał na pola, czy tam przypadkiem nie ujrzy gdzie młodego zajączka lub zbłąkanej owieczki. Czy się chcesz nauczyć po drzewach skakać, jak reszta twego skrzydlatego rodu? O, siedziałbyś w twoich błoniach, w których nie trudno o ziarnko dla zgłodniałego brzuszka; a tu w lesie, to nieraz długo trzeba zębami szczękać, nim się co nawinie do zaspokojenia szarpiącego wnętrzności głodu! Ja o tem najlepiej sądzić mogę, bo już od trzech przeszło dni powietrze tylko łykam. Codzień to gorzej. Jeśli więc tutaj lepszego żeru szukać przyleciałeś, toś się źle wybrał.«

»Gdzie mnie tam myśleć o jedzeniu, sędziwy przyjacielu! Mam z łaski Boga tyle do strawy, że nietylko siebie, ale i dwudziestu takich, jak ty mógłbym używić przyjaciół; ale inna, stokroć dotkliwsza tłoczy mnie boleść, a tej mi pewnie już nikt nie odejmie«.

To rzekłszy, począł znów rzewnie kwilić. Wilk zaś mało zważając na to, myślał tylko z rozkoszą o owych licznych zasobach żeru, i jakby ich dopaść. Począł więc cieszyć swego pod grządką przypadłego drobnego towarzysza.

»Ej! cóż tam, kiedy ci tylko głód nie dokucza, to reszta fraszki. Zwierz mi się szczerze, a wszystkiemu zaradzimy; boć przecież, choćby się też i z niedźwiedziem potykać przyszło, do stu gromów! jeszcze dosyć siły czuję w sobie. No, no, już skończ te piski, a opowiadaj, bom bardzo ciekawy«.

Po długiem kwileniu, które nareszcie choć dosyć powolnego znudziło wilka, opowiedział skowronek całe swoje nieszczęście.

»I nic więcej? jam myślał, że ciebie już tam jutro gdzie piec będą na rożnie, a tu tylko o poskromienie upartego kreta chodzi, ha, ha, ha! No, ja cię wybawię z tego nieszczęścia, ale sobie trzy rzeczy wymawiam, naturalnie, że dopiero po pracy nagroda; pierwsza, żebym się najadł porządnie; druga, bym

się także napił; a ostatnia, bym się też i zabawił uczciwie.

»Ach! przyjacielu! wszystko nawet nad miarę ci przyrzekam«.

»Dobrze, teraz mi pokaż, gdzie to twoje gniazdo, a potem lataj spokojnie, dopóki czas przez twego, jak go tam zowiesz, zabójcę naznaczony, nie minie; poczem natychmiast mi wracaj do twoich małych, bo obronić, to ja je potrafię, ale co nakarmić zgłodniałe, tego się już nie podejmę.

W pośrodku porosłego majową trawką zagona, zręcznie uwite, cokolwiek w ziemię wtłoczone gniazdko, zamykało pięcioro pierzących się dopiero ptaszyn. Tłoczone dwudziennym niemal głodem, niebogie z piskiem wyciągały główki, wyglądając tak długo niewidzianej matki. Obok nich przyczajony do ziemi leżał w milczeniu stary wilk. Iskrzące się oczy jego nie trwożyły niewinnych bynajmniej. W tem się ziemia pod ptaszynami zwolna unosić poczyna, coraz więcej i więcej, czują nareszcie, że się już ich gniazdo wywraca; piszczą więc przeraźliwie, gdy nagle posłyszały silne pod sobą uderzenie, któremu wstrząśniony ich domek, w dawne upadł miejsce. Zamilkły z trwogi; ale w tejże samej chwili, siadła przy nich z pokarmem tak długo oczekiwana matka.

»No, już ci on teraz więcej szkodzić nie będzie; oto go masz tego nieprzyjaciela twego« ozwał się stojący obok wilk do skowronka, wskazując mu zabitego kreta, którego łapą w brózdę wygarnął. Ale teraz dotrzymaj przyrzeczenia, już mi się też porządnie jeść chce«. (Dokończenie nastąpi.)

O Mazowszu i Mazurach.

Wszystkie przymioty staro-słowiańskie cechowały Mazura. Był on mężny w boju, ale pokój nad wojnę przekładał. Spokojność i zatrudnienia domowe przenosił nad wszystko i wysoko cenił pracowite swoje i hoże niewiasty. Gościnność i mierność lubił, do zwady był skory, nie tak wszakże, ażeby sam zaczepiał wroga, lecz raczej, ażeby mężnie odparł na siebie napaść, nie cierpiąc tego, jak mawiał, ażeby mu kto w kaszę dmuchał. Pełno na to dowodów dostarczają ówcześni pisarze.

Stryjkowski wychwala męztwa brata Mazura, uzbrojonego szarszunem (broń sieczna), kijcem i pukawką (strzelba). W czasie dobywania Wielkołuków za Stefana Batorego Wieloch Mazur, poddany Lasockich ze wsi Miastkowa, chociaż był postrzelony, przecież szedł oślep z ogniem w ręku i parkan fortecy palił: za co król nagradzając jego męztwo, szlachcicem go uczynił. Wśród boju tęsknił Mazur do żony i dziatwy, niekiedy cichaczem wymykał się do domu, ażeby co prędzej mógł oglądać swoich. Tam on słodkie wśród rolnych zatrudnień spędzał chwile, pianiem swojego gospodarza (koguta tak nazywał) budzony do pracy, zachęcany do wytrwałości przykładem swojej niewiasty, która była tu pracowitsza, niż gdzieindziej w Polsce. Błogo było w domkach tych ludzi; pełne tam były obory, pełne gumna. Chociaż małe role, często nie większe nad trzy zagony, posiadał Mazur, jednakże nie zbywało mu nigdy, czemby w chędogim swoim i skromniusieńko urządzonym dworku hojnie przyjął gościa. Jeść i pić musiał potężnie gość, jeżeli nie chciał zmartwić uprzejmego Mazowszanina, który we wszystkiem skromny, w tej tylko mierze przesadzał. Głównym w domu sprzętem była wisząca na ścianie barda (płocha) do wyrabiania płócien przydatna; odzieniem mieszkańca tego domu gruba siermięga, jej ozdobą buława, którą zawsze nosił za pasem, a krasą twarzy potężny wąs. Szczerość, cnota, bojaźń Boża i ochota do pracy cechowały mieszkanie i mieszkańca mazowieckiego dworku. Skorszym on będąc do rady, nie wyruszył się nigdzie bez potężnego kija w ręku. Dzielnem tem narzędziem nakazywał dla siebie uszanowanie, niem odpierał napaść, niem uskramiał wroga.

Wielko i Małopolanie wiele sobie opowiadali gadek o niezgrabnych i głupich Mazurach, co o Bożym nie wiedzieli świecie i nad głębokie swoje piaski niczego więcej nie znali, którzy skorymi będąc do kijca w domu, uciekali się do prawa, gdy im przyszło rozprawić się z nieprzyjacielem na polu bitwy. Wołał raz Mazur na Tatarzyna, gdy go począł kieścieniem (broń tatarska nakształt toporu) po grzbiecie smarować: »słysz, a czemu mnie bijesz? Jeżeli ja tobie co winien; patrzże ty mnie sobie prawem, a daj mi pokój.« Takie szczególniej gadki bolały Mazurów. Przekonani będąc o swojem męztwie, najprzykrzej słuchali przymówek, czynionych sobie o tchórzostwo. Kiedy podochociwszy na uczcie śpiewali Wielko i Małopolanie:

Mazurowie mili,
Gdzieście się popili,
W Warce na gorzałce,
W Czersku na złem piwsku.

Mazurowie naszy,
Po jaglanej kaszy,
Słone wąsy mają,
Piwem je maczają:
Skoro się podpiją,
Wnet chłopa zabiją.

Brat Mazur wcale się o to nie gniewał, bo dwa ostatnie wiersze rozbrajały gniew jego, z którymby był wybuchnął niechybnie, gdyby mu męztwa jakośkolwiek nie przyznano. Owszem, jak gdyby po sercu pogłaskał, odciął się wesołemu śmiałkowi rodzinną piosnką, w której krótko wszystkie swoje dobre i złe wymienił zalety.

Znaj Polaku Pany,
Śmiałe Mazowszany,
Gotowi do boju
W zwadzie czy w pokoju,
A nie wiele mierzą,
Śmiejąc się uderzą.
Chociaż w piasku brodzą,
Lecz ostrożnie chodzą.

Taki nam obraz daje W. Maciejowski o dawnej szlachcie zagonowej mazowieckiej, która wykształceniem i obyczajami nie różniła się prawie wcale od chłopów.

Śpiewny to lud ci Mazurowie. Nuta i pieśń mazowiecka pod nazwą mazurków słyną w całej Polsce, a najwięcej taniec mazur, król, że tak powiemy polskich tańców. Komuż serce nie zabije żywiej, gdy usłyszy skoczną nutę i zobaczy dorodne pary, tańczące umiejętnie mazura? Nawet cudzoziemcy zachwycają się tym pięknym tańcem.

Mazury mieszkają w okolicach Warszawy, Płocka i Rawy. Z Mazowsza wychodziły liczne osady na Ruś do Litwy, Wielkopolski i Prus Wschodnich, gdzie dotąd istnieje nazwa Mazurów.

Znane jest wyrażenie »mazurzyć« zamiast szepleníć. Mazurzy nie wymawiają głosek cz, sz, rz, ż, mówią c, s, z, np. capka a nie czapka, sabla a nie szabla, zemień, zaba itd. »Boze, jakie tez to zytecko scupłe«, mówią po swojemu Mazowszanie. Podobnie też mówi lud w Galicyi i w niektórych okolicach Śląszka i Wielkopolski.

Gry dla starszych i młodzieży.

Gry towarzyskie w większem gronie znajomych, którzy się zebrali w celu wspólnego zabawienia się, są nadzwyczajnie rozmaite. Są między niemi głośne i hałaśliwe, których wtedy unikać należy, gdy się mieszka w większym domu, w którym możnaby sąsiadom narazić się lub sprawić im przykrość; są spokojne najzupełniej i ciche; są poważne i zabawne; są takie, które tylko na wolnem powietrzu się udają, i takie, które stósowniejsze są w pokoju, są poważne i pouczające, jakoteż łatwe i tylko wesołe; są wreszcie, stósowne tylko dla dzieci, lub stósowne tylko dla młodzieży lub stósowne tylko dla starszych, albo wreszcie stósowne dla wszystkich razem.

Poznamy rozmaitego rodzaju gry towarzyskie, ażeby tem większa była rozmaitość.

Adwokat.

Wesoła to zabawa, a ma tę zaletę, że może się odbywać zupełnie bez hałasu, często tylko wesoły śmiech wywołuje.

Potrzeba do tej gry nieparzystej ilości osób. Ustawiają się dwa szeregi krzeseł naprzeciw siebie z nieszerokiem przejściem pomiędzy niemi. Obecni zasiadają na krzesłach, tak, by naprzeciw każdej osoby znajdowała się jakaś inna osoba — jej adwokat. Jedna osoba znajduje się we środku i przechadza się, zapytując siedzących o rozmaite rzeczy. Na te zapytania nie wolno odpowiadać temu, do którego zapytanie było zwrócone, tylko musi na nie odpowiedzieć natychmiast, to daje fant, idzie do środka, a na jego miejsce siada ten, który był we środku.

Naprzykład różne osoby, które naznaczymy literami, siedzą naprzeciw siebie w ten sposób:

A B C D E F
— M —
G H I J K L

W środku przechadza się osoba M.

M zwraca się do H z zapytaniem: „Która godzina?" Ma odpowiedzieć natychmiast B: „pół do ósmej". Ażeby pochwycić na gorącym uczynku osobę B, zwraca się do niej M z zapytaniem: „Czy to ty teraz masz odpowiedzieć?" W tejże chwili H ma odpowiedzieć: „Naturalnie, że ja." Wtedy M szybko obraca się do E i zapytuje na pozór z oburzeniem: „Niechże pani osądzi, czy H nie ma teraz dać fantu?" Jeżeli teraz odpowie E (zamiast coby miał odpowiedzieć K), to daje fant i idzie do środka, a M zajmuje jego miejsce.

Dużo przy tem zabawy, gdy pytający umie szybko i dowcipnie zadawać pytania, i jeżeli odpowiadający równie dowcipnie, choćby nawet niedorzecznie, odpowiadają.

Praktyczne rady.

— **Kluski z kaszki pszennej na sposób francuski.** Małą łyżkę masła utrzeć doskonale na misce, dodać po jednem dwa żółtka, pianę z dwóch białek, dwie łyżki kwaśnej śmietany, i mieszając, dosypywać z wolna pół kwaterek kaszki pszennej, poczem pozostawić ciasto spokojnie na jakie pół godziny, aby kaszka napęczniała, i wówczas dopiero kłaść łyżką kluski na gotujący się rosół. Gdyby kluski okazały się za twarde, dolać do nich jeszcze nieco śmietany.

— **Aby otrzymać klajster,** który się przez 4 tygodnie nie zepsuje dodaje się do wody, w której mączka ma być gotowaną, 1 procent boraksu. Biorąc do takiej wody pół kleju, pół mączki otrzymuje się klajster, który po uschnięciu tak samo trzyma jak sam klej.

— **Na wiosnę,** gdy jeszcze trudno o młode jarzyny, dobrą bardzo potrawę można przyrządzić z listków rzodkiewki (Rettig) w taki sposób, jak się spinak przyrządza.

Rozmaitości.

* **Do jednej z prostopadłych** skał naprzeciw Ziemi Ognistej, w cieśninie Magiellana, przyczepiona jest na łańcuchach beczułka, w którą wrzucają się listy. Okręt przejeżdżający posyła łódź, żeby zabrać cudzą korespondencyą i zostawić swoją, którą zabierze z kolei statek w przeciwną płynący stronę. To biuro pocztowe jest pod opieką międzynarodowej marynarki i dotąd ani jedno nadużycie w niem się nie zdarzyło.

* **Zwyczaj zmieniania nazwisk** po ślubie powstał w Rzymie; kobieta, wychodząc za mąż, przybierała do swego imienia imię męża i zwała się naprzykład Julia Pompejuszowa lub Porcya Brutusowa. Nie wszędzie jednak zwyczaj ten się przyjął. W Anglii jeszcze w XVI w. kobiety zamężne zachowywały panieńskie nazwiska. Katarzyna Parr zawsze się tak podpisywała, choć dwukrotnie wstępowała w związki małżeńskie. Lady Joanna Grey jest znaną tylko pod tem imieniem, chociaż mężem jej był znany lord Dudley. Dopiero za panowania królowej Elżbiety wydano prawo, według którego kobieta, po ślubie, obowiązaną była przyjąć nazwisko męża. W całej Europie taki panuje zwyczaj, z wyjątkiem kilku stanów Ameryki północnej, Hiszpanii i Portugalii, gdzie mężatki używają nazwiska panieńskiego.

* **Pozornie** ze wszystkich monarchów europejskich, królowa angielska najmniej władzy posiada, lecz gdyby chciała, mogłaby korzystać z następujących przywilejów: Wolno jej w każdej chwili uwolnić całą armię i marynarkę, począwszy od naczelnego wodza i admirałów, aż do trębacza i ucznia okrętowego. Mogłaby sprzedać wszystkie statki, całą artyleryę, wszelkie zapasy broni i amunicyi, mieszczące się w arsenałach. Wolno jej na własną odpowiedzialność wypowiedzieć wojnę całej Europie, albo odstąpić część posiadłości angielskich obcemu mocarstwu. Jedno słowo z jej ust, a każdy gabinet musiałby się podać do dymisyi. Gdyby jej przyszła ochota, mogłaby podnieść do godności para pierwszego lepszego żebraka, z prawem zasiadania w izbie lordów. Mogłaby także ułaskawić i wypuścić z więzienia wszystkich przestępców. Prawo pozwala jej na to wszystko, ale od czasu Jerzego III monarchowie angielscy nie korzystają z tych przywilejów.

* **Jak wścieklizny,** który udziela się wskutek zarażenia od ludzi i zwierząt, może powstać w organiźmie przez działanie wyobraźni. Francuski lekarz Pirel opisuje następujące zdarzenie: »Wśród nocy żołnierze nastraszyli jednego z towarzyszy; dostał on zaraz kurczy, palenia i ściskania w gardle, uczuł wstręt do wody i zaczął się ślinić. Pomimo natychmiastowej pomocy, wystąpiły inne objawy i żołnierz skonał wśród męczarni, chociaż nigdy nie został pokąsany przez psa wściekłego.« Na posiedzeniu Akademii Nauk w Paryżu, Pasteur odczytał sprawozdanie o podobnym wypadku wmówionego wodowstrętu: pacyent, pijak nałogowy, nigdy nie był przez psa pokąsany, a jednak umarł na tę straszną chorobę. Dr. Bosquillon z Hotel Dieu utrzymuje, że wyobraźnia jest trucizną, która może zabić i często zabija; dlatego też podczas wszelkich zaraz należy ją trzymać na wodzy i nie poddawać się strachowi.

* **Homar** ma z każdej strony głowy 100 oczów, ale nasza pospolita mucha domowa posiada ich 4,000. Niektóre gatunki motyli są niezmiernie hojnie pod tym względem uposażone, gdyż natura dała im 17,000 oczów. Wszystko to fraszka w porównaniu z łątką Panną; ten śliczny, wysmukły owad, o szafirowym gorseciku i czarnych koronkowych skrzydełkach, posiada oczów 36,000.

* **Jak wielki jest Londyn?** Przestrzeń, zajmowana przez Londyn, równą jest kołu o 30 milowej średnicy. Miasto »wiecznej mgły« posiada 30,000 ulic, 700,000 domów, 5,009,000 ludności, 1,400 świątyń, 6,000 lekarzy. Ludności na dobę wzrasta o 200 jednostek; żeni się rocznie 37,000 osób. Wody Londyn zużywa na dobę 150,000,000 galonów. Żebractwo, pomimo zabiegów miłosierdzia, praktykuje 24,000 jednostek; krzewieniem pijaństwa trudni się 12,000 szynków.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.